

„Spór o Chopina na Tévennec”

Niebo przecięła błyskawica, a chwilę później dało się słyszeć mrozący krew w żyłach grzmot. Nie musiał spoglądać za małeńkie okienko, by wiedzieć, że na zewnątrz zrobiło się ciemno. Sztorm rozszalał się na dobre i morskie fale co chwilę z głośnym łoskotem uderzały o ściany latarni. Gdzieniedzie wlewała się woda, więc Alain co jakiś czas brał brudną, dziurawą szmatkę, wycierał nią podłogę, by następnie wycisnąć ją do sucha do wiaderka. W ten sposób starał się chronić swój dobytek. Całe szczęście, że ulubione książki i stary gramofon schował wcześniej w bezpiecznym miejscu i woda nie powinna im zagrażać. No... przynajmniej miał taką nadzieję.

Odkąd wpadł na pomysł, by spędzić paręnaście dni na latarni Tévennec, wszyscy starali się wybić mu tę głupotę z głowy. Nie działały groźby, że nie ma tam ani centralnego ogrzewania, ani elektryczności, ani bieżącej wody. Straszanie niebezpiecznymi falami i zabójczymi skałami w jej okolicach także nie skutkowało. Podobnież wzmianki o fatalnym oddziaływaniu tego miejsca na ludzką psychikę – mówiono, że latarnicy tracili tu zmysły i ginęli w niewyjaśnionych okolicznościach. Jeżeli zaś wierzyć legendom, na tej wysepce, gdzie wzniesiono około 1874 roku tę latarnię, mieszkał sam Ankou – uosobienie śmierci w kulturze Bretanii. Z tego, co udało mu się ustalić, płynąc w pobliżu Raz de Sein bez silnika, prąd porywa cię prosto na Tévennec. Alain zawsze uwielbiał takie historie i może to dlatego chciał tu spędzić trochę czasu. Niezależnie od ceny.

Kiedy burza już nieco się uspokoiła, mężczyzna rozsiadł się wygodnie na krzeselku, które udało się przetransportować tutaj tydzień temu. Okrył się kocem, po czym rozejrzał się dokładnie po pomieszczeniu. Ściany nie były w najlepszym stanie – tu i ówdzie pokrywał je ciemnozielony osad, przypominający glony, przy drzwiach i schodach odchodziła farba, ukazując czerwono-żółtą cegłę. Sprowadzenie tutaj malarzy miało się z celem, bardziej rozsądnym wyjściem byłby remont całej budowli, lecz oprócz góry pieniędzy przydałyby się również sprzyjające pracom warunki. Niestety, latarnia położona była w północnej części Raz de Sein przy Pointe du Van, otoczona przez postrzępione skały, które niejednokrotnie przyczyniły się do śmierci latarników czy osób, które podpływały tam z zapasami, więc... warunków po prostu nie było. Zamiast malować, Alain ozdobił ściany flagą Francji i rodzinnymi fotografiami ze swoją żoną i córką, Julie.

Swoją drogą... miał ogromne szczęście, że udało mu się tu w ogóle przybyć bez szwanku. Kto wie?... Może to przeznaczenie?

Alain przeczesał palcami swoją oprószoną siwizną czuprynę, zastanawiając się jak miło byłoby napić się teraz kawy. Pysznej, aromatycznej, ciepłej kawy z mlekiem. I zjeść croissanta. Tak, z konfiturą z wiśni... Mimowolnie zwilżył wargi językiem, a chwilę potem jęknął żałośnie. Jakże on tęsknił za prawdziwym, francuskim śniadaniem!

– Mówię ci, on jest Francuzem! – usłyszał męski głos, a zaraz po nim cierpiętnicze westchnienie.

– Non, wcale nie, cóż mówisz! – zaprotestował ktoś żywo. – Chopin był Polakiem. Po-la-kiem!

Alain otworzył oczy i zerknął z politowaniem na wpółprzezroczyste ciała trzech jegomościów w centralnej części pokoju. O ile pamięć go nie zawodziła, był to sam Chopin, Rimbaud i Delacroix.

– Panowie, przestańcie się sprzeczać – jęknął Fryderyk. – Jestem Polakiem, urodziłem się w Polsce, przysięgam...

– Absurd! – krzyknął na to wzburzony Arthur Rimbaud. – A to nazwisko to niby skąd, ha!? Na dodatek mieszkał pan w Paryżu, oui? A pana grób znajduje się na paryskim Père-Lachaise!

Alain przewrócił teatralnie oczami. Ileż razy musiał ich słuchać? Odkąd zamieszkał w latarni, duchy wybitnych Francuzów i nie tylko, których dzieła lub samo wspomnienie nazwiska znajdowało się w książkach tu przywiezionych, pojawiały się niemalże codziennie. Początkowo przestraszyli go nie na żarty. Myślał nawet, że naprawdę zwariował albo że doskwierała mu samotność. Dałby wiele za możliwość porozmawiania z Julie na temat tego zjawiska. Ale ona znajdowała się teraz wiele kilometrów stąd, w Dijon, a dzwonić mógł tylko w razie gdyby brakowało mu zapasów. Zresztą, kto by mu uwierzył? Julie jak zwykle nazwałaby go zdziwaczalym piernikiem, któremu coś się pomieszało na stare lata.

Tymczasem towarzystwo poszerzyło się o Honoré'a de Balzaca, słynnego kompozytora Claude'a Debussy'ego, paru podeszłych w wieku latarników, a nawet Jeanne d'Arc, która będąc jedyną kobietą w tym dziwnym zgromadzeniu, wolała trzymać się z dala od zajętych kłótnią mężczyzn. Wspięła się na pierwsze stopnie drewnianych schodów, po czym usiadła i spoglądała na Alaina łagodnym wzrokiem, uśmiechając się w iście anielski sposób.

– Monsieur Moreau – zwrócił się do mężczyzny przerażony niewiedzą co poniektórych jegomościów oraz mocno poirytowany Chopin – niech pan powie, że wcale nie jestem Francuzem!

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę zmęczonego, pięćdziesięcioletniego mężczyzny, który wciąż spoczywał na krześle, okryty kocem. Alain westchnął, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz zamknął je z powrotem. Przypomniało mu się właśnie, że przysłuchiwał się podobnej konwersacji, będąc w kawiarni razem ze swoją żoną, kiedy mieszkali jeszcze w Paryżu. Croissanty, wiśniowa konfitura i aromatyczna kawa znów opanowały jego myśli.

– No, tak jak mówiłem, Frédéric jest Francuzem – podsumował Artur Rimbaud, uśmiechając się szeroko. Podeszedł do zdesperowanego Polaka i objął go po przyjacielsku.

– Fryderyk – zaakcentował Alain – jest Polakiem. Urodził się i wychowywał w Polsce. A później musiał stamtąd wyjechać.

W przeciwieństwie do Chopina, na twarzy Rimbauda zagościł brzydki grymas, ale wszyscy w pomieszczeniu wybuchnęli gromkim śmiechem, więc dalsze dowodzenie miało się z celem. Mężczyzna machnął ręką, po czym zniknął.

Alain przeprosił towarzystwo, tłumacząc się zmęczeniem, po czym położył się na swoim pościeli i zamknął oczy. Jeszcze przez chwilę słyszał stłumione męskie głosy, aż w końcu zasnął.